

20.



Lwów 13. Czerwca 1886.

Tygodnik beletrystyczny.

Wychodzi.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3.70 —
kwartalnie złr. 1.85. Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półro-
cznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarni Polskiej“).

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

ŁAMIGŁÓWKA.

ar — bek — bri — ca — chi — cja — da — do — do —
dój — dro — el — fer — ga — gen — gi — gi — in —
is — ju — ka — ka — ko — ko — ku — la — le —
li — li — mo — na — nian — no — ny — os — pi —
po — ra — re — rej — ri — ru — ry — ry — sty — sza —
ści — tel — to — tro — try — tu — va — wa — wa —
wę — wlec — za — zel — zo.

1. Cesarz bizantyński, słynne jego czyny;
Podobno pochodził z sławiańskiej rodziny.
2. Umysłowe wykształcenie
Ma tę nazwę i znaczenie.
3. Dawne rycerskie igrzysko,
Dziś jarmarczne widowisko.
4. Małe ptaszki śpiewające,
Mają śliczne pióra lśniące.
5. Żywe choć ruchu nie mają,
Przysmakiem się dla nas stają.
6. Ptak ten światła znieść nie może,
Więc lata w wieczornej porze.
7. Bardzo sławny rzeźbiarz w świecie,
Toć nie trudno zgadnąć przecie.
8. Podróżnicy co z ochotą
Robią wycieczki piechotą.
9. Tak się zowie kraj kwitnący,
Mlekiem i miodem płynący.
10. Pismo w Warszawie wychodzi,
Czytają je starzy, młodzi.
11. To znana w świecie opera,
Prześliczne arje zawiera.
12. Gdzie nieszczęście lub gdzie bieda,
Ta się zawsze dobrze przyda.

13. To towarzysz nasz w podróży,
Bywa mały, bywa duży.
 14. Jedna z najwyższych gór w świecie,
Jak to z geografji wiecie.
 15. Psy drapieżne dziko żyją,
Przeraźliwym głosem wyją.
 16. Pewne partje nad rzekami
Zarośnięte są krzakami.
 17. Ten się masami wylawia.
Rybakowi rozkosz sprawia.
 18. To bardzo wysoki dygnitarz kościoła,
Współwyznawcy przed nim uchylają czoła.
- Węzykiem idąc po początkowych i końcowych literach roz-
wiązania otrzymamy przysłowie.

Rozwiązanie łamigłówki z nr 19.

Worek — **Introligatorstwo** — **Andrychów** — **Rej** — **Al-**
dańskie — **Biumeris** — **Epigramat** — **Zaandam** — **Ultra-**
marina — **Cassiodor** — **Zawrót** — **Yzow** — **Nikotyna.**

Podwójny akrostych tworzy:

Wiara bez uczynków jest martwą.

Rozwiązanie kwadratu magicznego:

Młot, Łoza, Ozór, Tara.

Rozwiązanie zadania matematycznego:

15 $\frac{2185}{14048}$ fnt. złota, i 4 $\frac{11863}{14048}$ fnt. srebra.

Dobre rozwiązanie nadesłali Wni: H. Pańkowska ze
Lwowa, Stefania Wysocka z Polanki Wielkiej, Adam Świtlik z Rze-
szowa, Adam Krahl ze Lwowa, Ant. Hauff ze Lwowa, Anna Wo-
roniecka z Sambora, Wanda Schuster z Czerniowiec.

Wynik losowania: Najpierwsze wylosowane zostało roz-
wiązanie: Wandy Schuster z Czerniowiec, pod jej też adresem pre-
mia wysłana została.

☞ Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczona się dla prenumerato-
rów „Kwiatów powieściowych“, „**Miłość i wola**“ powieść Zofji Rudnickiej.
Premję tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie. ☞



Tygodnik belletrystyczny.

Lwów 1881.

Wydawca: Stanisław Maniecki. Lwów, ulica Jagiellońska 116. (Kantor Drukarni Polskiej).

Redaktor i wydawca: Stanisław Maniecki. Lwów, ulica Jagiellońska 116. (Kantor Drukarni Polskiej).

STANISŁAW MANIECKI

WYKŁADY

- 13. To powstasz nasz w podziżu, Bywa miły, bywa duży.
- 14. Jedną z najwzrostych kór w świecie, Jak to z rozrostu wiecie.
- 15. Pięć drapieżne dąbko żyje, Przeróżnym głodem żyje.
- 16. Lewne parcie nad zekami, Natomiast na karami.
- 17. Ten się masami wywar, Nijakowy rozkosz spawar.
- 18. To bardzo wysoki dęgiatrz kościelny, Wpółwzrostem przed nim ulepia czołny.

1. Gwarant bixant... słynne jego czyny.
 Podobno pochodził z sławiańskiej rodziny.
 2. Umysłowe wykształcenie
 Ma to nazwę i znaczenie.
 3. Dawne trzaskie igryzsko,
 Daje jarmuzne widowisko.
 4. Mało ptaszkę śpiewającą,
 Miał śliczne pióra żółtą.
 5. Żwe chod tuż nie mały,
 Przymuskiem się dla na stały.
 6. Park ten światła znieść nie może,
 Wycieć lala w wieczorną porę.
 7. Bardzo sławny zespierał w świecie,
 Toż nie trudno zgadnąć przecie.

Rozwiazanie tajemnicy z nr 19.
 Wzrost - Introligatorstwo - Andrychów - Hef - Al -
 dąbko - Hominia - Higinat - Szadama - Wilm -
 marmar - D'rasiodor - Szawót - Waw - Nikiotina.
 Powójny stworzył twory;
 Wina bez czepników jest mactwa.
 Liczba nie kwadrat mactwa;
 Miot. Loan, Odr, Tara.
 Rozwiazanie zadania matematycznego:
 15 int. złota i 4 int. srebra.

- 8. Podróżnicy co z obrotu
 Hobię wywieski pociętu.
- 9. Tak się zowie kraj kwintary,
 Meksikon i miodern plynary.
- 10. Panno w Ww-awie wychodził,
 Czaję je stary, miodził.
- 11. To zanna w świecie opera,
 Przechłone strigawera.
- 12. Dłgie nieczyste lub kłbe bieda,
 To się zwaze dobrze przeda.

Dobre rozwiazanie przesłali Wni: H. Panikowska ze
 Lwowa, Stefan Woska z Polonii Wileńskiej, Adam Świliński z Jan-
 szawu, Adam Kiehl ze Lwowa, Ant. Land z Lwowa, Anna Wo-
 łonska z Szawu, Wanda Schuler z Szawu.
 Hukle losowaly: Najlepsze wyslowione zostało roz-
 wiazanie: Wanda Schuler z Szawu, pod jej adresem pro-
 cina wysłano zostało.
 Za rozwiazanie powyższych zagadek przysłała się dla premii sto-
 row „Kwiatów powieściowych”. „Miłość i wola” powieść Ksji Rudnickiej.
 Premję tę otrzymał pierwszy wysłany rozwiazanie.



Lwów 13. Czerwca 1886. Tygodnik beletrystyczny. Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3.70 — kwartalnie złr. 1.85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Po jego wyjściu senatorowa usiadła przy oknie i zamyśliła się. Z tych dumań wyrwał ją turkot powozu, który z przed werandy szybko wyjeżdżał. Siedział w nim Bożycki. Twarz jego — o ile dojrzeć mogła Molska, — była blada; było na niej widać zniecierpliwienie, niepokój, gniew; rzucił się na siedzeniu gorączkowo. Widziała jak rękami dawał woźnicy znaki do szybszej jazdy. Jeszcze powóz za bramą ogrodową nie zniknął, gdy do salonu weszła Marja....

— Jaki ten stryjek niedobry! — przemówiła całując Molską. — Nie dał mi znać o przyjeździe mameczki, aż dopiero, gdy sam się nagadał dowoli... Jak pani jesteś piękną! — zawołała przypatrując się chrestnej matce z prawdziwym podziwem...

— Pochlebnie! — zaśmiała się Molska. — Wystroiliłam się tak i wypiękniałam na cześć twoją. Muszę zastąpić młode družki, więc zrobiłam się młodą. Ale gdzież to pojechał pan młody?

— Otrzymał jakiś list i musiał natychmiast jechać do Leśnej. Wróci za godzinę.

-- Gdzież ojciec?

— W swojej kancelarji z rejentem.

— Mamy jeszcze kilka godzin czasu... Siadaj Maryjko przy mnie, pogawędzimy sobie, bo profesora Bogi gdzieś poniosły...

— Poszedł do proboszcza, ale i on wróci prędko...

— Za cztery godziny będziesz dziecino mężatką — powiedziała Molska całując Marję w czoło.

— A tak mateczko — cicho odpowiedziała. — Za cztery!...

— Serdecznie mi cię żal! — drżącym głosem przemówiła Molska. — Bodajbym była nigdy nie doczekała tej chwili...

— Jakto matko? Dnia mojego ślubu?

— Takiego ślubu! poprawiła Molska, naciskając pierwszy wyraz.

Marja milcząc odwróciła twarz, aby niedojrzano że w oczach miała łzy.

— Ja ciebie nie rozumiem Maryjko — mówiła dalej senatorowa. — Jeszcze niedawno z oburzeniem odtrącałaś myśl, aby Bożycki śmiał się o ciebie starać, a teraz masz być jego! żoną tego, który wydawał ci się wstrętnym i śmiesznym. Dziecko kochane, miejże nad sobą litość, ostatni raz cię zaklinam... Jeszcze czas cofnąć się, jeszcze klamka nie zapadła...

— Dlaczegoż mam się cofać — rzekła Marja — gdy do pana Bożyckiego mam przywiązanie, gdy chętnie idę za niego?...

— Kłamiesz przed sobą i przedemną uczucie, którego w sercu twojem niema. Jam, moje dziecko, stara; mnie zwięzić nie łatwo. Przecież ja ciebie znam dobrze i wiem że Bożycki niemoże być twoim ideałem... Słuchaj Maryjko: ty zaledwie żyć zaczynasz, ja przeszłam już życie i mogę ci powiedzieć że zabijasz się, skazujesz siebie na nieszczęście. Dla duszy takiej jak twoja, dla takiego serca jakie bije w twojej piersi, innego trzeba wybraćca... W tobie sama młodość, twoje jestestwo całe żądne miłości, poświę-

ceń; serce wyrywa się ku nieznanemu bóstwu, a ty oddajesz rękę staremu nad grobem, który ani pragnień twej duszy zrozumieć, ani porywów twego serca zaspokoić nie będzie w stanie. Wiesz ty na co się skazujesz?

— Na życie obowiązku i pracy — powiedziała głucho Marja.

— Nie, dziecko, na życie smutku i niedoli! Słuchaj: Do panny, która za chwil kilka ma oddać rękę mężczyźnie, nie mówi się jak do nieletniego dziecka; rozmawia się z nią bez ogródki. Czy wiesz dlaczego ja tak sprzeciwiam się twojemu zamężciu? dlaczego dałabym pół życia byle ono do skutku nie doszło? Oto dlatego, że sama za życia piekło przeszła...

Marja oczami zdziwionej i przestraszonej gazeli spojrzała na Molską.

— Twoje zdziwienie pokazuje, że nieznasz ani historii mojego zamężcia, ani historii mojego pożycia z mężem. Dla całego świata, dla twojej matki nawet, którą kochałam jak siostrę, miałam zawsze uśmiech wesela na twarzy; nigdy skarga nie powstała na moich ustach; nikt nie wiedział o tantalowych mękach duszy. Tobie jedynej i pierwszej odkryję moje życie, wypowiadam się... Chcę ci dać dowód jak cię kocham, chcę tem opowiadaniem odwieść cię od ołtarza... Co niegdyś spotkało mnie, jutro spotka ciebie, jeśli się zawczasu nie cofniesz...

Byłam jedynaczką. Urody mi nie brakowało; także wykształcenia. Powiadano ogólnie że była najrozsądniejszą, najwykształceńszą panną w okolicy. Młodzież szalała za mną i to nie młodzież tuzinkowa, ale kwiat młodzieży. W tych szeregach był i twój stryj... Na co się zapierać darmo. Kochałam go całą potęgą serca, dusza rwała się ku niemu. Już głośno mówiono o nas, jako o dobranej parze, gdy nadeszły czasy burzliwe i mój ojciec został uwięziony. Czekala go co najmniej kara wygnania i konfiskata majątku. Był zrozpaczony. Wszelkie poszlaki były przeciw niemu; niebyło dla niego ratunku. Jeden tylko człowiek mógł do uratować, a tym był senator Molski. Poszłam z matką prosić go o ratunek. Senator był to stary, wyżyty człowiek, tak samo jak Bożycki, pretensjonalny, wstrętny i śmieszny. Ale miał potężne wpływy... Obiecał uratować ojca; przyrzekł to solennie ale — za cenę mojej ręki. Podobałam mu się; w oczach jego krwią podbiegłych, ohydnych, błyszczał demon szkaradnej namiętności; prześladował mnie swoją obrzydliwą miłością. Co miałam robić? Ojciec wołał ratunku, dziecko niemogło się namyślać — zostałam senatorową... Ojciec wrócił do domu jako niewinny... Pomyśl Maryjko jakie uczucia miałam w piersi... Kochałam w Antonim ideał mężczyzny, zostałam żoną wyżytego starca... Do tamtego rwało się serce, a ja musiałam poddawać się uciśkom brudasa, który mnie formalnie kupił... Każdy jego pocałunek był dla mnie hańbą, hańda pieszczota

ohydą, a przecież musiałam je znosić, musiałam się poddawać jego mężowskiej woli... Piekło całe było we mnie; mnie dzień każdy był klęską, każde zbliżenie męża pohańbieniem... Ja miałam lat 18 on 60; ja pełna życia, on starzec nad grobem... Cóż z takiego dobranego stadła wyniknąć mogło? Adaś!... Moja to krew... moje dziecko... kocham go... a jednak Maryjko, ten chłopiec to dalsza konsekwencja raz popełnionego błędu, ten biedny idjota, cichy, spokojny a bez mózgu, to jedyny spadkobierca fortuny mojej i męża... Ty nie jesteś w stanie pojąć, co to jest być matką idjoty, ale gdy spojrzysz na Adama, dreszcz tobą wstrząsa. Radabyś go przygarnąć do siebie, a jednocześnie coś cię od niego odpycha. Powiedz mi dziecko czy ci nie straszno na samą myśl podobnego pożycia? Czy nie zadrżysz przed jego następstwami? A przecież ciebie nic i nikt nie zmusza iść za Bożyckiego. Twój ojciec wolny, poważany, majątny, niezależny, więc po co, dziewczyno, narażasz się dobrowolnie na piekło? Kto ci każe zaprzedać się w niewolę na życie całe?...

Molska przestała mówić i spojrzała w oczy Marji. Były bez wyrazu, szklane jakies, bezduszne. Słuchala niesłuchając, a twarz jej miała tak dziwny wyraz, że senatorowa cała się wstrząsała...

— Słyszałaś Maryjko? — zapytała kładąc rękę na ramieniu chrzestnicy.

— Słyszałam mateczko... — powiedziała Marja przesuając ręką po czole.

— I cóżes postanowiła? — z natężoną ciekawością zapytała Molska.

— Iść do ołtarza z moim narzeczonym!...

Molska osłupiała...

— Więc wszystko nadarmo! Ta dziewczyna chce się zgubić... Czyż słowa moje tak mało mają u ciebie znaczenia? Czemu nie wierzysz doświadczeniu starej kobiety, która cię kocha jak matka, która by ci nieba przychylić rada... Mieję litość nad sobą dziewczyno...

Marja spojrzała na Molską błagalnie i rzuciła się w jej objęcia.

— Ty mateczko miej litość nademną i nieperswaduj mi więcej, nie mów do mnie więcej o tej sprawie... To daremne! Pójdę za Bożyckiego... Nie utrudniaj mi matko zadania, które spełnić powinnam...

— Więc nie zawiodył mnie przecucia! — zawołała Molska. — Twoje zamężcie to ofiara jakaś! Maryjko! nieszczęśliwe dziecko, imieniem zmarłej matki zaklinam cię, powiedz co cię wiedzie do ołtarza z tym starcem, jaką tajemnicę kryjesz ofiarą? Może jeszcze jest ratunek... może można odwrócić nieszczęście od ciebie... Mów, błagam cię!...

— Nie! Daruj, ale niemogę, choć cię jak matkę kocham. — Marja otarła lzy i śmiało w oczy Molskiej spojrzała. — Ojciec mówi że Bzowscy byli zawsze nieugięci i sprawy swoje załatwiali sami z sobą, ra-

chując się tylko z sumieniem. Do niedawna powtarzałam te słowa bezmyślnie, teraz, gdym dojrzała, wiem co one mają znaczyć i czuję że niezrobie wstydu Bzowskim... Matko, ani jednego słowa więcej!.. Stryj nadchodzi!..

Molska z podziwieniem spojrzała na młode dziewczę... Ten niesłychany hart duszy imponował jej... Czuli że dziewczę spełniało czyn poświęcenia i czuli że do niego dorosło... W całej postaci Marji była taka stanowczość woli, taka smętna powaga i majestat bólu, że Molska nie mogła, nie śmiała domagać się wyjawienia tajemnicy, którą przeczuwała. Gdy wszedł profesor, Marja podbiegła ku niemu.

— Jakże, stryжку, kościół już przybrany?

— Wspaniale! Proboszczyna wysadził się! Staruch sam doglądał wszystkiego, sam był przy rozścielaniu kobierców, sam ustawiał kwiaty...

— Pocziwy! — szepnęła Marja. — Nie zapomniał że mnie na rękach nosił...

— Teraz będzie ślub dawał — przemówił profesor. — Tym razem mógłby go sobie wygodnie darować...

— Stryжку! — z wyrzutem powiedziała Marja. — Czy tak należy mi umilać dzień dzisiejszy...

Profesor machnął ręką z indygnacją i spojrział na Molską niewymówiwszy słowa.

— Już piąta dochodzi — powiedziała senatorka patrząc na zegar.

— Czas ubierać się — rzekła Marja. — Chodźcie państwo do mojego pokoju, tam wam się sprezentuję w ślubnej sukni. Wykończono ją przed chwilą.. Pójdziecie?

— Naturalnie że pójdziemy. Sama ci upnę welon.

— Ja bo tylko będę bezczynnym, podziwiającym widzem.

Marja poszła naprzód, za nią profesor z Molską. Gdy Marja znikła za portjerą, profesor spytał szeptem:

— No cóż? Mówiłaś z nią pani?

— Mówiłam, ale napróżno. Będzie Bożycką..

— Żeby on z piekła niewyrzwał! — zaklął profesor i podążył za Molską...

W salonie zapanowała cisza. Słysząc tylko było wychwył ściennego wahadłowego zegara, lekki wietrzyk zawiewał z ogrodu przez otwarte okna i porósł koronkowemi firankami. Jakiś smutny dech wiał w tym salonie, może dlatego, że pod ścianą stał hebanowy, misternie rzeźbiony klęcznik gotycki, dar pana młodego, który jakąś dziwną igraszką losu, pozostawiono tutaj wśród ogólnej krętaniny, zamiast przenieść do pokoju Marji. A odbijał on rażąco od grymasnych kozetek i taburecików umeblowania; od tysiąca fraszek porozrzucanych po stolikach i etażerkach, odbijał tem dziwniej, że po nad nim wisiał na ścianie portret Marji, malowany przez Canona w Wiedniu... Była na nim wesola, rozkosznie uśmie-

chnięta, istne uosobienie dziewiczego wdzięku, w pełni rozkwitu; czarująca, z odcieniem marzenia na ślicznej twarzy.

Po upływie kilkunastu minut, drzwi z przedpokoju wiodące uchyliły się i do salonu wszedł — Bodmer.

Przybywał on do Bzowa od strony Ząbkowic; powóz swój zostawił przed bramą ogrodową i pieszo dostał się przez ogród na werandę. Ztamtąd wszedł do przedpokoju, a gdy po kilku chwilach oczekiwania, nikt ze służby się nie pojawił aby go zaanonsować, otworzył pierwsze lepsze drzwi i znalazł się w salonie.

Miał na sobie wykwintny strój salonowy, wygodną modą skrojony, w ręce niósł czarną skórzaną tekę na papiery i trzymał filcowy kapelusz.

Wszedłszy obejrzał się na około, a gdy nikogo nie dostrzegł, uśmiechnął się jakoś dziwnie. W ruchach przebiło się wahanie; nie mógł się zdecydować czy wracać czy iść dalej. Postąpił wreszcie kilka kroków od drzwi i salon obserwować zaczął. Widocznie namyślił się pozostać w nim, w nadzieji, że przecież ktoś pojawiłby się powinien. Jeżeli zdecydował się w ogóle przestąpić progi Bzowskiego, dla czegożby zaczekać nie miał, aby oko w oko spojrzeć temu pankowi, który go tak lekceważąco zbył dwa razy milczeniem, a którego losy miał obecnie w ręce. W tece bowiem spoczywały skrypta Bzowskiego. Przynosił je osobiście stosownie do umowy z Bożyckim; chciał osobiście powiedzieć szlachcicowi, że teraz nadszedł czas obrachunku... Termin Bożyckiego minął przed tygodniem. Bodmer z własnej chęci przedłużył go jeszcze o następne trzy dni i uwiadomił o tem Bożyckiego; ale gdy i te minęły uważał się za właściciela skryptów i już dziś robił z nich użytek. Spieszył się, bo z tyloletniego doświadczenia wiedział, że po wszechstronnem rozważeniu stosunków, tylko szybkość działania daje pomyslnie wyniki. Przychodził już, bo wiedział pewnie, że Bożycki niebył w stanie wykupić skryptów, gdyż gra na giełdzie pochłonęła mu cały majątek... że był bez grosza.

Oglądając salon spostrzegł w koszyczku na oknie, zaczęta robótkę kobiecą, nawet wziął ją do ręki. Naprowadziła go na myśl, że Bzowski może być żonaty. Znał go wprawdzie z widzenia ale nieznanne mu były familijne stosunki sąsiada. Nie miał zwyczaju dowiadywać się od nikogo o rzeczy, które leżały po za obrębem jego czynności...

Zobaczył klęcznik i uśmiechnął się ironicznie. Obejrzał go i zachwyił się misternością roboty. Oceńał jego wartość na 500 rubli i znów ironiczny wyraz twarzy jego przybrała. Według pojęć jego, był to zbyt nieczem nieusprawiedliwiony... Kto się umie modlić, ten uklęknie na podłodze i będzie mu

wygodnie... Zresztą frapował go ten klęcznik — w salonie.

Spojrzał po ścianach i oko jego spoczęło na portrecie Marji. Patrzał długo i uważnie. Twarz jego zdradzała niepomierne zajęcie; czy oderwać się nie mogły od obrazu, kilka razy przetarł ręką czoło, jak by sobie chciał przypomnieć, gdzie widział twarz podobną... Nie; tak mu się tylko zdawało... on jej nigdy niewidział, tylko wyobrażał sobie zawsze, że piękna kobieta takąby być powinna, aby go dla siebie zainteresować... Przyznać musiał że była prześliczną, a równocześnie zapytywał siebie: kogo może przedstawiać ten portret?...

I odszedł od obrazu i znów powtórnie wrócił do niego... Czyżby to była żona Bzowskiego?... Być może... W każdym razie piękna bardzo...

Na myśl przyszedł mu Bożycki. Dlaczego? on tylko mógł wiedzieć jeden. Bożycki lubił piękne kobiety... Przy tém wspomnieniu, twarz Bodmera zadrgała nerwowo a wyraz jej był straszny... klócił się na niej gniew i oburzenie... nienawiść i wzgarda...

Oddalił się od obrazu, a ręka jego trzymająca tekę, konwulsyjnie się zacisnęła. Myślał o tem, jak Bożycki uwikłał Bzowskiego... Jak to on tytułem przyjaźni musiał dogadzać Bzowskiemu, dawać zawsze pożyczki, nieupominać się o zwrot ich aż dopiero wówczas, gdy go jak amerykański boa obwinął pierścieniami, aby zgnieść na miazgę... Znał dobrze Bożyckiego, wiedział co to za dusiciel...

Spojrzał na obraz z oddalenia, ale wnet odwrócił się... Usta zadrgały mu... Coś zapytywało go, czy on także nie jest dusicielem w obec Bzowskiego?... Czy on także nie korzysta z nieogłędności ludzkiej?... Twarz jego uspokoiła się go chwili, a tylko rys surowości w niej się został... Z myśli jego ustąpiły wszystkie wątpliwości. Miał się za żołnierza cywilizacji w obec maroderów przeszłości; był tylko konsekwencją ekonomicznej walki wydanej szlacheckiemu bezrobociu...

I znów spojrzał na obraz, tym razem bez ironji, owszem z pewnem współczuciem... Ale coś długo nikt nieprzybywał. Spojrzał na zegarek i obliczył że bawi tutaj już kwadrans... Dłużej nie wypadało czekać...

Właśnie zamierzał iść ku drzwiom, gdy z sąsiedniego pokoju doszedł go miły kobiecy głosik. Bodmer słyszał jak ktoś mówił:

— Zabawiajcie się. ja idę do salonu podumać trochę....

Postanowił zostać. Ciekawy był czy postać będzie równie piękną, jak głos który wydała. Stał w pobliżu okna; zasłaniała go częściowo firanka.

Portjera usunęła się i do salonu weszła Marja. W powłóczystej, białej, atlasowej sukni szła wolnym krokiem, z głową na piersi opuszczoną, z rękami splecionymi, zadumana, smutna... Do jej stroju bra-

kowało welona, dlatego zapatrzony w nią Bodmer był przekonany, że dama ta jest w balowej sukni i zamierza jechać gdzieś na zabawę... Ale dlaczego tak smutna? — Miał przed sobą pierwowzór obrazu, tylko piękniejszy jeszcze, bardziej majestatyczny... Czy jego błyszczały zachwytem... kimkolwiek była — była zachwycającą!..

Postąpił ku niej kilka kroków. Szelest ich zbudził Marję z zamyślenia, spojrzała przed siebie a zobaczywszy kogoś obcego, chciała się w pierwszej chwili cofnąć.

Bodmer skłonił się z uszanowaniem — Marja odwzajemniła ukłonem.

— Nie zastawszy nikogo ze służby w przedpokoju — zaczął Bodmer — wszedłem tutaj przed chwilą spodziewając się, że ktoś z domowników nadejdzie... Jestem Henryk Bodmer z Leśnej...

Na dźwięk tego nazwiska, Marja skierowała swoje oczy na mówiącego, a tyle w nich było zdziwienia i zajęcia, tyle mimowolnego zaambarasowania i ciekawości, że to nie mogło ująć uwadze Bodmera.

— Czy zastałem pana Bzowskiego? — spytał po chwili.

— Zdaje mi się, że ojciec jest w swojej pracowni. — Mówiąc to, zadzwoniła. Wszedł lokaj ugallowany cały...

— Niech Stefan poprosi tutaj pana — rozkazała.

— Jaśnie pan wyszedł przed chwilą na folwark — powiedział lokaj.

— Możesz odejść — skinęła Marja, a po oddaleniu się służącego zwróciła mowę do gościa — Folwark bardzo blisko i ojciec krótko tam, w każdym razie, zabawi, jeśli więc panu zależy na widzeniu się z nim, chciej pan poczekać.

— Zaczekam — powiedział krótko Bodmer; wiedział obecnie, że mówi z córką pana domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARZNACZE FALE

POWIEŚĆ

przez Waleręgo Szzyborowskiego.

XXV.

Kiedy Lape przybył do Zalesia prawie nikogo nie było w pałacu. Pani Łucja siedziała tylko z Karolinką na tarasie i błędziła wzrokiem po czystym błękitnie nieba, smutna i zamyślona. Jej towarzyszka czytała Kurjera przywiezionego z poczty, tą samą bryczką, którą przyjechał Lape. Zaremba był na dziedzińcu koło spalonych stodół. Joanna zaś wybrała się nad staw, gdzie właśnie zaciągano niewód, by trochę ryb nałowić, których tam miało być mnóstwo. Poszła dopilnować, żeby ryb nierozkradziono. Usiadła sobie na ławeczce pod posągami konającego Laokona i patrzyła na staw, na ruiny leżące z drugiej jego strony,

na dalekie pola, teraz pokryte już tylko rżyskiem. Otaczała ją poważna cisza i melancholja poczynającej się już jesieni. Opuściła ręce na kolana, oparła głowę o podstawę posągu i błędziła wzrokiem po tych dalekich, pełnych pewnego poetycznego smutku widokach. Wzrok jej przybrał barwę mętną, niejasną, jak gdyby zamglony czemś został. Dzień był ciepły, cichy, słoneczny. Po ciemnych wodach stawu ślizgały się wązkie promienie słońca, przedostające się przez gąszcz otaczających go drzew i tworzyły pas światła na wodzie, jak gdyby ktoś ponabijał tam lśniących gwoździ. W tych promieniach wirowały muszki wodne, cienkie, jasno-szafirowej barwy jętki, z przezroczystymi, jakby z pajęczyny utkanymi skrzydłami. Wielkie liście nenufarów już teraz okwitłych, oraz kaczęca rozkładały się poważnie na powierzchni wody. Tuż przy brzegu, u stóp rozmarzonej Joanny, w przezroczystej wodzie uwijały się, kręciły, ściagały drobne płotki, rzucając niekiedy błyskawice swą srebrną łuską.

Nagle zadumanej Joannie zdawało się, że spostrzega przez okno w ścianie zamkowej, wielki kapelusz słomiany Miny. Tak, to Mina. Nikt w całym domu nie ma takiego kapelusza. Dostrzegła nawet duże pióro białe i parasolkę z frendlami, parasolkę atlasową jasno-złotego koloru. Nie ulega żadnej kwestji, że Mina jest w zamku.

— Ale co ona tam robi? — zrodziło się pytanie w umyśle Joanny — i z kim jest? Boć nie podobna przypuszczać żeby była sama.

W tejże chwili dostrzegła Joanna wchodzącego do ruin Julka. Szedł ze szpicrutą w rękę, zamyślony, ścinając po drodze głowy dzikich roślin, bujnie rosnących na wzgórzu zamkowym. Szedł i wkrótce znikł za murami.

Joanna pobladła. Straszne podejrzenie zbudziło się w jej umyśle. Jej duże zimne oczy zaiskrzyły się jak u lwicy, a twarz pokryła się ciemną, burakową barwą. Usta jej drżały. Wstała, zbliżyła się do rybaków zabierających się do połowu i głosem drżącym, stłumionym, rzekła im:

— Dzisiaj nie będzie połowu. Idźcie do domu.

Zdziwili się trochę tym rozkazem, ale leniwie zwinęli sieć i poszli. Czekala aż znikną za drzewami, potem gwałtownie biedz poczęła naokoło stawu, żeby dostać się do zamku.

Jakoż nie omyliła się. W ruinach była jej bratowa i młody Zaremba. Zeszli się tam jak zwykle, jak prawie codzień się schodzili. Wyszukali sobie kącik ukryty między dwoma załomami muru, pokryty bujną trawą, z drzewem jarzębiny rosnącym na murze, z dzikiem winem pnącym się po wszystkich załomach, gruzach i szczerbach. Nad sobą mieli niebo lazuruwe, koło siebie ciszę ruin. Upajało ich to wszystko, upajała ich miłość. Zeszli się teraz i siedli na tej miękkiej trawie patrząc na szare mury zamku. Julek miłośnie objął wpół Minę i całował jej usta. Właśnie

wypelzła z pod gruzów jaszczurka ze srebrną łuską i wielkie swe wilgotne oczy wlepiła w kochanków. Zachwycalo ich to wszystko. Lekki wiaterek szeleścił między pnącym się po murze winem, z pola dochodziło ich świergotanie ptactwa. Na niebie, tuż nad zamkiem zwieszał się biały obłok, rażący blaskiem od słońca. Na czarne włosy Miny, która zdjęła swój duży kapelusz, jarzębina kładła swe koralowe grona. Złotej barwy parasolka rzucona niedbale na trawę paliła się pod słońcem płomienistym blaskiem i siałady na niej motyle, jak na kwiatach. Gdzieś z pomiędzy kamieni dochodziło brzęczenie dużego bąka, który latał szukając swego gniazda. Widać go było czarnego, z czerwoną pręgą na tułowiu, jak uwijał się na swych wątych skrzydłach między gruzami. Mury rzucały długie, mocne cienie, które wyraziście oddzielały się od miejsc oświetlonych słońcem.

Mina leżała w ramionach Julka, rozpromieniona, różowa od pocałunków. Rozplotły jej się w gwałtownym uścisku włosy i spadały na biały jej kark i na jasną sukienkę, jak węże ciemne, jak strumienie lawy. Obie ręce, z których szerokie rękawy sukienki zsunęły się, zarzuciła na szyję kochanka. Widać było na zielonej trawie jej nogi w białych pończochach i jasnych pantofelkach. Na pończosze siałady drobne robaczki zwabione tą białością. Od czasu do czasu odrywała oczy od twarzy kochanka i błędziła niemi po gruzach szarych, po niebie szafirowem, cichem, pełnem spokojnej zadumy.

Błędząc tak, nagle spostrzegła wlepione w siebie wielkie, zimne, surowe oczy Joanny. Stała ona na wyłomie popękanej ściany, ukryta do połowy i patrzyła wprost w twarz Miny. Oczy jej miały wyraz strasznej grozy i niesłychanego oburzenia. Zdawało się, że z tych oczów zimnych jak stal, padały dwa pioruny. Usta jej drżały konwulsyjnie. Biegając, wiatr czy gałęzie rozburzyły jej starannie uczesane włosy i cała ta głowa na ponurem tle rozwalin, wyglądała jak głowa Meduzy lub Gorgony. Jedną ręką wspierała się na murze tak silnie, że sypały się zeń odłamki wapna z szelestem — drugą ocierała czoło z potu, czy też dla odzyskania przytomności. Zwykle blada bledszą była jeszcze teraz i wyczytać można było w jej twarzy ten wyraz bezlitośny, który zdawał się mówić: nie przebaczę wam tego, co widzę, za nie w świecie, i pomścić się muszę.

Z krzykiem, puszczając a raczej odpychając od siebie kochanka i zasłaniając oburącz oczy, Mina zerwała się na równe nogi w jednym oka mgnienu. Pobladła i uczuła się tak osłabioną, że musiała się oprzeć o mur. Stała tak, z nogami mocno ściśniętymi, pochylona w tył, z głową opartą o ścianę na miękkim podścielisku z czarnych włosów. Obie ręce opuściła wzdłuż kolan, blada, drżąca, na pół nieprzytomna. Jej piersi wznosiły się i opadały gwałtownie a stanik ukazywał ich białą, twardą powierzchnię.

Podobną była na szarem tle murów, pośród dzikiego wina spadającego w festonach z gruzów, do widma romantyki średniowiecznej.

Julek przez długi czas nie pojmował, co się dzieje. Zerwał się także i dopytywał się gwałtownie Miny co się stało. Widząc jednak z jej przerażonych oczów, że ktoś musi być za nimi, odwrócił się, ale nikogo już nie spostrzegł.

Joanna widziała wszystko, co miała widzieć, zeszała z murów i biegła wzdłuż stawu do pałacu. Julek więc nie rozumiał nic, nie wiedział co się stało. Na usilne nalegania otrzymał nakoniec odpowiedź:

— Joanna!

Pobladł i on teraz i zaklął jak stary grenadjer. W jednym skoku znalazł się na murach i widział, jak Joanna okrążywszy już staw, biegła wielką aleją ku pałacowi. Widział jej długą, brązową suknię jak ją trzymała w obu rękach, żeby jej nie przeszkadzała w biegu, jej włosy miotane wiatrem. Zrobiło mu się strasznie głupio koło serca, zdawało mu się, że spadło na niego coś olbrzymiego i gniecie go swym ciężarem.

Zeszedł z murów i postąpił ku Minie, wciąż opartej o ścianę, z nogami wysuniętymi nieco naprzód, silnie ściśniętymi. Nie ruszała się wcale, tylko duże jej, okropnie teraz przerażone oczy patrzyły na kochankę z pytaniem, troską i obawą niewypowiedzianą. On unikał jej wzroku — szedł ze spuszczoną głową, szukając w umyśle z rozpaczliwym wysiłkiem jakiego ratunku, jakiego wyjścia z tej fatalnej matni i znaleźć nie mógł.

— Popraw Mino włosy i zapnij suknię na piersiach! — rzekł nakoniec.

Gorący, przelotny rumieniec zapalił jej twarz. Gwałtownie odwróciła się do muru i zapięła stanik. Potem zgarniając włosy w jeden pęk, spytała:

— Julku, co będzie teraz?

— Albo ja wiem! — odrzekł obojętnie i szorstko, chodząc wśród gruzów.

Włożyła na głowę swój duży kapelusz słomiany z białym piórem, podniosła z murawy złocistą parasolkę i spojrzała na kochankę, który błądził wśród gruzów, jak człowiek nieprzytomny. Postąpiła ku niemu parę kroków. Ciągle była jeszcze blada i oczy miały wyraz niewypowiedzianego przerażenia. Od parasolki padał na jej twarzyczkę złocisty cień.

— Idź do pałacu! — zawołał nakoniec Julek — cóż innego robić? Rozejdźmy się, a może ta wiedźma przekłeta nie powie nic Millerowi...

— O! nie ludy się tem — odrzekła mu nagle wybuchając płaczem — powie mu wszystko, jeżeli już nie powiedziała.

Jej łzy poczęły go irytować. Rzucił się, jakby na węża nastąpił:

— Czego płaczesz? Co tu łzy pomogą? Idź do pałacu, mówię ci, przecie Miller cię nie zabije! Stało się, co się stać koniecznie musiało. Byliśmy bardzo

nieostrożni... a właściwie ty Mino... No, nie płacz, nie płacz, bo mię to rozdrażnia jeszcze bardziej.

Znalazł swą szpicrutę, której dotąd szukał i ciął nią tak gwałtownie wielkie liście łopuchu, że padały kawalkami w odległości kilku kroków. Nacisnął kapelusz na głowę i odwracając się do Miny, rzekł:

— Idź do pałacu, ja tam zaraz przyjdę.

Skierował się ku polom.

Mina widziała jak przeszedł bramę i zniknął za murami. Została sama i zdawało się jej, że ją cały świat opuszcza. Rozpłakała się głośno i tak mocno, że się utulić w żalu nie mogła. Musiała usiąść na jakimś kawale muru, żeby opanować się, ovladnąć sobą. Koniki polne świerkały koło niej, i znów wypelzła jaszczurka na słońce i utopiła w siedzącej Minie swe rozumne oczy. Te oczy, ta jaszczurka, przypomniawszy samotnej kobiecie tę chwilę, kiedy przed półgodziną swobodna, spokojna, omdlewała w uścisku kochanka i także jaszczurka na nich się patrzyła. Wszystko to minęło, i wszystko to się skończyło. Nerwowy dreszcz ją przeszedł na myśl tego zdrożnego stosunku, który budził w niej teraz mnóstwo wyrzutów. Źle robiła, bardzo źle robiła. Stało się!

Podniosła się i znów powstało w niej pytanie:

— Dlaczego Julek mię opuścił? Dokąd on poszedł?

Pobiegła za nim. Przez bramę zamkową, dość jeszcze dobrze zachowaną, której sklepienie powtarzało odgłos jej kroków i nieomal szelest jej wykrochmalonej sukienki, wydostała się na zewnątrz i spojrzała na roztaczające się przed nią pola, powoli zniżające się i zakończone ciemną smugą lasu. Przez te pola, pokryte teraz rżyskiem, szedł miedzą ku lasowi Julek w swym białym kapeluszu, z głową schyloną, tnąc gwałtownie szpicrutą rosnące po bokach zielska. Zdawało jej się, że od niej ucieka, chciała zawołać na niego, pobiedz za nim. Ale duma nie pozwoliła jej na to. Otarła oczy chusteczką, poprawiła sukienki i okrążając zamek ruszyła ku domowi.

Brnęła w bujnej trawie po kostki, plosząc mnóstwo robaków, jaszczurek i motyli. Jej wykrochmalona jasna sukienka szeleściła za każdym krokiem. Parasolkę trzymała spuszczoną na dół, nie zasłaniając się wcale, nie zważając na to, że palące słońce sierpniowe padało wprost na jej twarz.

Od czasu do czasu odwracała głowę i spoglądała na Julka, ciągle posuwającego się ku lasowi. Na zakręcie, w chwili gdy go miała stracić z oczu, jeszcze raz zatrzymała się i spojrzała na kochankę. On stał twarzą zwrócony ku zamkowi i zdawał mu się przypatrywać. Potem usiadł na miedzy i siedział tak ze spuszczone nogami w rowie, z głową wspartą na rękę. Słońce prostopadle wzniesione, na niebie, rzucało na niego całe snopy swego światła.

Westchnęła i skierowała się ku pałacowi. Szła wolno, z niesłychanym bolem w sercu i obawą. Co ona teraz robi? jak ma wejść do domu swego męża?

co powie temu mężowi? Nie znajdowała odpowiedzi na te pytania i szła ciągle.

Okrążyła zamek, staw i znalazła się w wielkiej alei przy posągu konającego Laokona. Była tak zmęczona, że musiała usiąść na chwilę na kamiennej ławce pod posągiem. Z ciekawością i obawą spoglądała na pałac, który widać było stąd doskonale. Na czerwonym dachu słońce zapalało jakieś iskry i promienie jego drżały, jakby dachówka gotowała się od gorąca. Okna były po większej części pootwierane i nikt się w nich nie ukazywał. Na tarasie siedziała nieruchoma pani Łucja i panna Karolina z robótką jakąś w rękę. Zresztą nikogo tam więcej nie było. Kilku ludzi gradowało ścieżki w pobliżu tarasu, zacierając ślady zniszczenia spowodowane przez pożar. Sielankowa cisza i spokój panował do koła. Wielki paw, roztrzaskując swój cudowny, lśniący ogon, przechadzał się w pobliżu tarasu.

Ta cisza, kryjąca w swem łonie straszliwą burzę, przerażała Minę. Nie śmiała się ruszyć, lękała się by jej nie spostrzeżono z pałacu. Czuliła potrzebę pójść tam, pod ten dach skalany przez nią a bała się. Niekiedy spoglądając na ciemną tafłę wód stawu, brała ją ochota zakończyć tę głupią tragedję i skoczyć do wody. Mówiono jej kilkakrotnie, że staw jest bardzo głęboki. Pływać nie umiała i pewną była, że utonie. Ale otrząsała się z tych myśli. Bała się śmierci, tej nieznaney, tajemniczej śmierci, z całym jej ludzkim otoczeniem: trumną, świecami woskowemi, karawanem, księżmi i grobem. Życie pomimo wszystkiego miało dla niej jeszcze za wiele uroku, by je miała rzucać tak wcześnie i tak prędko. Wzdychała ciągle, uważała się za bardzo nieszczęśliwą i miała jakąś niewytłómaczoną pretensją do świata za to swoje nieszczęście. Na myśl o Joannie, o jej oczach groźnych, zimnych, wlepionych w nią tam w zamku, ogarniała ją wściekłość i niepomamowany gniew.

— Czego ta kobieta mnie prześladowuje? — mówiła — czego chce odemnie? com jej winna?

Nakoniec zdecydowała się pójść do pałacu. Wstała i bocznemi alejami, dostała się do swego pokoju. Tu zamknęła drzwi na klucz i padła na kozetkę wybuchając spazmatycznym płaczem. (Dok. nast.)

Kwiat pomarańczowy

NOWELLA.

Jak tylko myślą zasięgnąć mogę, przypominam sobie, iż otworzyłem biały swój kielich pod tchnieniem porannego zefiru i ujrzałem się na niezwyklej wysokości...

Znajdowałem się na samym szczycie gałęzi, strzelającej prosto w niebo, a u stóp swych widziałem

cały ogród, rozciągający się w szerokim promieniu dokoła.

Rozglądałem się wesoło na wszystkie strony, dumny z wysokiego swego stanowiska.

Ogród ten był na wzgórzu, którego pochyłość wiodła ku rzece Po; na tej pochyłości bielily się wille, rozrzucone tu i owdzie, jak stado białych owieczek. A tam, dalej, w głębi widziałem Po, który się kręcił i wił jakby wąż jaki, rzucając się w oczy metalicznemi odbłyskami.

Jakto miło wznosić się ponad wszystkimi! królować nad równymi sobie! myślałem, wydając z białego kielicha radosne westchnienia.

Potem spojrzełem na inne kwiaty pomarańczowe, co się rozwinęły na tem samem drzewie, ale na niższych gałęziach, a które chociażby nie wiem jak roztworzyły swoje płatki kwiatowe, nie mogłyby widzieć tej nieskończonej przestrzeni, którą ja obejmowałem jednym spojrzeniem. Śledziłem ją z wysokości i wołałem ze wzgardą:

— Biedaczki!

Obym był nigdy nie wymówił tego wyrazu, który mi pycha podszeptęła! Od Lucypera bowiem począwszy, każdy został za tę ułonność srodze ukarany. I ja miałem być jednym dowodem więcej, czem jest próżność tego świata!

Podczas gdy się zatapiał w podziwianiu swojej wielkości, spostrzegłem idącego z głębi ogrodu pewnego jegomości spalonego od słońca tak, że wyglądał jak statua z bronzu.... Miał na sobie ubiór z szarego płótna i szeroki kapelusz słomiany. Siedział z wolna z rękami w tył, pośpiewując sobie. Hm, hm, hm! W prawej ręce trzymał malutką kosę, błyszczącą jak księżyc na nowiu.

Skoro się zbliżył do pięknej pomarańczy, która była, jakbyto ludzie powiedzieli, mojem drzewem genealogicznym, spojrział z upodobaniem na silny pień, na grube liście i kwiaty, na kwiaty rosnące niżej, na tę moją pokorną brać, którą ja pogardziłem.

Ale zamiast dzielić moje względem nich usposobienie, ten signor Botanico zawołał:

— Śliczny okaz! Śliczne kwiaty, *per bacco*, możnaby to dać na wystawę!

Słowa te wniknęły w mój kielich jak kropla ożywej rosy. Na wystawę! Tam to dopiero moje niezwykle stanowisko byłoby ściągalo podziw wszystkich!

W tejże chwili signor Botanico podniósł wzrok ku mnie. Starałem się roztworzyć jeszcze szerzej płatki swojej korony, żeby mu się lepiej podobać. Ale on zmarszczył brwi i zaczął wołać:

— Michele! Chele! Cheee!!

— Signorze — odrzekł ogrodnik wychylający się z klombu różowych balsamin i biegnący ku nam przy akompanjamencie opadających mu z nóg sandałów.

— Jak możesz pozwalać, aby gałąź tak wy-

bujala jak ta oto — wołał nań pan jego, wskazując na moją gałąź. — Zepsułeś mi całe drzewo, że też się na was spuścić nie można. Zaledwie przez tydzień nie było mnie w domu, a już mnie zmartwienie czekało w ogrodzie.

— Czy mam uciąć tę gałąź, panie? — zapytał pokornie wyrodną ogrodnik.

Ach, gdybym go był mógł zdusić w tejże chwili.

— Tak, teraz o tem dopiero myślisz? Kiedy ja tu jestem, nie potrzebuję ciebie. Uważaj na drugi raz.

Dla mnie była to chwila konania! Wszystkie władze moje tak były naprężone, iż mogło się stać coś niesłychanego.... to jest mogłem przemówić na wieczny podziw tego signora Botanico i wszystkich innych botaników terażniejszych i przyszłych. Ale nie miałem już czasu. Ujrzałem jak ów pan o brązowej cerze wyciągnął rękę ku mnie, ujrzałem połyskujący w niej ten nów księżycowy i wnet uczulem niewypowiedziany ból w zgięciu gałęzi.... Zdawało mi się, że cały ogród kręci się ze mną, straciłem równowagę i spadłem na ziemię, podczas gdy signor Botanico oddalił się, powtarzając głosem pełnym zadowolenia swoją zwykłą piosenkę: Hm, hm, hm!

Tak upokorzony i poniżony, myślałem o Ikarze, który spadł także, bo chciał za wysoko wzlatać, a biedne moje białe listeczki wędły na słońcu, jak jego skrzydła woskowe....

Myślałem, że wkrótce umrę, aby się odrodzić niewiadomo kiedy i niewiadomo gdzie i już prawie w ostatnich wonnych technieniach miałem oddać kwiecianą swą duszę, gdy w tem ujrzałem dwa trzewiczki ze złoczonej skóry, dwie pończoszki błękitne na dwóch okrągłych nóżkach, które biegły chyżo ku mnie....

Zdobyłem się na niezwykle wysilenie, żeby spojrzeć raz jeszcze przed siebie i ujrzałem tylko dwa różowe kolanka, które się zgięły tuż przy mnie i dotknęły ziemi.... potem zbrakło mi siły i leżałem jak w omdleniu.

Usłyszałem w tejże chwili melodyjny głosik, który mówił:

— Ach, któż to rzucił na ziemię ten mój biedny kwiatek! Ten śliczny kwiatek, który zaglądał aż prawie do mego okienka! Povero fiore! Povero fiore!

Uczulem jak mię ktoś podnosił z poziomego położenia i dwie wargi świeże jak dwie truskawki zdmuchiwały pył z mojej korony, szepejąc jeszcze:

— Rzucili cię na ziemię, biedny kwiatku! biedny mój kwiateczku! Ale ja cię orzeźwię i ty będziesz moim. Ja potrafię to zrobić, potrafię, tatko mię tego nauczył.

Zostałem poddany znowu bardzo bolesnej operacji.... Ścięto mi koniec gałęzi, poczem włożono mię w ziemię. Ale wszystko to zrobione było z taką zręcznością przez dwie malutkie delikatne rączyny, iż

myślałem śród mego cierpienia, że niejednen chory chciałby być uzdrowiony w ten sposób.

Skoro już mocno stanąłem w ziemi, napełniającej moją doniczkę po brzegi, wówczas uczulem się orzeźwionym świeżą wodą i o tyle nabrałem sił, iż mogłem się przypatrzeć litościwemu lekarzowi, który mię ocalił.

Była to śliczna ośmioletnia dziewczynka; śliczna bambina. Biała, różowa, jasnowłosa jak amerek Albaniego. I skakała koło mnie wesoło, zupełnie jak owe aniolki w „Tańcu amorków“.

O! ty bożku kwiatów! Jakże ja byłem wdzięczny tej dziewczynce! Chciałem mrzeć i odradzać się wciąż na jej drzewku, na drzewku tej, co mnie ocaliła!

Co roku w jesieni nadchodził smutny dzień, w którym Dora mię żegnała. Oślaniała wtedy troskliwie pień mój słomą, polecała mię staraniom ogrodnika, wskakiwała do karety nóżkami w błękitnych lub różowych pończoszkach i trzewiczkach ze złoczonej skóry. Wówczas to posyłała mi rączką „buzi“, raz, drugi i trzeci; konie rżały, ruszały i kareta znikła w tumanie kurzu. Przez sześć miesięcy nie widywałem jej wcale!

Następowała zima długa i posępna; przebywałem ją myśląc o mojej paniencie i gromadząc wonie, aby ją niemi owionąć na wiosnę.

Co roku w maju witałem powracającą Dorę, która rosła i piękniała coraz więcej. Hałasowała niemało za powrotem. Powtarzała sobie lekcje, przechadzając się wciąż koło mego drewnianego wazonu; a powtarzała je głosem podniesionym i monotonnym, przeplatając swoje niepewne odpowiedzi zapytaniami, które robiła tonem surowym i grubym, naśladując zapewne swą nauczycielkę z miasta.

Potem wyrzucała książki za okno, bawiła się, śmiała i śpiewała; otaczała wazon mój lalkami. Często bardzo rozkładała u moich stóp serwetkę nie większą od chustki do nosa; na niej rozstawiała filiżanki i szklanki miniaturowej wielkości, zwoływała dzieci ogrodnika i wydawała niby to ucztę, złożoną z listków różanych, cukierków i limoniady.

Ach dobre to były czasy! Dobre czasy!

Potem nadszedł rok pamiętny, o bardzo pamiętny dla mnie — rok w którym już nie widziałem błękitnych pończoszek i okrągłych nówek... Krótkie spódniczki były przydłużone, włosy spadające przedtem jak deszcz złoty były związane i zebrane w war-kocz, upięty z tyłu głowy.

Dora już nie skakała, lecz chodziła zamyślona. Nie nucila już piosneczek, które echo powtarzało w dali; ale śpiewała, zachowując takt jaknajskrupulatniej przy akompaniamencie fortepianu. Nie sadowiła już lalek na moim wazonie, ale siadywała sama tuż przy mnie z książką w ręku i czytywała wiersze

lub prozę w obcych językach, których nie mogłem zrozumieć, ale które tak słodko brzmiały, jak jaka melodia wyśpiewana jej czarującym głosem.

Bambina stała się z upływem lat *signoriną*. Lubiała mię jednak zawsze, nazywała mię zawsze *swojem* drzewkiem, *swoim* kwiatem, a ja przywykłem ją widzieć taką jak była.

Jeszcze to były niezłe czasy. Signora przyjeżdżała do willi ze swemi towarzyszkami, siedziała lub chodziła z niemi tuż obok mnie. Rozmawiała o naukach, sztuce, teatrach, książkach, muzyce i strojach.

Stawiała na moim wazonie klatkę ze swoim kanarkiem; mówiła doń mnóstwo ślicznych rzeczy, na które ptaszek odpowiadał świągotem. Wówczas podziwiano i wysławiano jego śpiew, i jego... romansowe oczki. A ja byłem zazdrośny! Nie o jego oczy, bo nic mu nie miałem do zazdrośczenia, ale o jego świągotanie. O! jakże bym ja był chciał zaśpiewać choć jedną piosneczkę mojej ślicznej dziewczynce!

Ubolewając tak nad tem, owionąłem ją obłokiem woni, a wówczas ona zwróciła się ku mnie i zaczęła mię chwalić i podziwiać. A ja myślałem: On ma śpiew, a ja woń, i nie zazdrościłem więcej kanarkowi.

Potem nastąpiły zabawy i przyjęcia. Mnóstwo pięknych panów i pań przybywało z miasta. Przyczepiano lampki do wszystkich drzew w ogrodzie. Wszystkie salony były rześście oświetlone. Słyszałem muzykę. Widziałem w oddali pięknych panów i piękne panie, poruszające się w takt muzyki. Kieliszki brzęczały i rozlegało się echo wesołej rozmowy i śmiechu.

Moja panienka była zachwycająca wówczas, z twarzyczką zarumienioną od ruchu i wesela. Chodziła tam i napowrót, tańczyła, śmiała się, poszukiwana przez wszystkich, chwalona przez wszystkich, piękna, wesoła, szczęśliwa.

Signor Botaniko, czarno ubrany, w rękawiczkach i bez owego straszego *nowiu* w ręku, ale z brązową cerą jak dawniej, patrzył wciąż za nią, gdy przebiegała z salonu do salonu i nieraz wymykała mu się z ust na ton zadowolenia ojcowskiego, zwykła jego zwrotka: Hm, hm, hm!

W tym to roku Dora przyszła mnie powitać pewnego poranku po takiej zabawie, trochę znużona bezsennością, ale uśmiechnięta i zamysłona. Był to początek karnawału. Moja panienka miała jechać do miasta, gdzie ją czekały rozrywki, które tak lubiała, to też wcale się nie smuciła, że odjeżdżała...

Mnie zaś było bardzo smutno, tem więcej, że i kanarka zabrała z sobą. Podczas ponurych dni zimowych myślałem nie raz o tem pożegnaniu tak obojętnem z jej strony, porównywałem je z pożegnaniem serdecznemi dawniej *bambiny*, i wędłem z boleści. Czułem, że jest mniej kochany!

Z jakim niepokojem oczekiwałem wiosny! Z jaką radością witałem tę porę roku ciepłą i pogodną!

Soki moje krążyły szybciej, czułem się odrodzonym i... ufalem.

Pewnego poranku gdym się jeszcze jej nie spodziwał, usłyszałem turkot karety moich państwa.

Skorzystałem z pierwszego powiewu wiatru, aby się zwrócić w tę stronę i pierwszy zobaczyć moją panienkę.

Siedziała ona w głębi karety — była blada i smutna. Pierwsze me spojrzenie było dla niej; drugiem zaś szukałem swego skrzydlatego rywala.

Ale ani obok signory, ani obok jej służącej nie spostrzegłem klatki. Kanarka tam nie było!

Może już nie żyje, myślałem. I w mej prostoduszności kwiecianej żalowałem serdecznie swojego rywala.

Ale przy wysiadaniu z karety stara ciotka Dory, która kazała pokojówce pozabierać z powozu całe stosy szali, mantylek, szarf, welonów, worków podróżnych i parasolek, zwróciła się do siostrzenicy i rzekła:

— A twój kanarek, Doro?

— Ach! — zawołała Dora z przykrem zdziwieniem, które jednak było tylko przelotnem, poczem dodała obojętnie:

— Zapomniałam go...

Floro i Cerero! Ona zapomniała kanarka! O czemże więc ona myślała?

Przeszła koło mnie nie widząc mnie wcale i później trochę zbliżyła się wprawdzie do mnie i popieściła się ze mną. Ale czyniła to z roztargnieniem. Już serce jej było daleko odemnie! Wionąłem ku niej całą swoją wonią aby ją pocieszyć. Ale ona przyjęła to z taką samą obojętnością, z jaką przypominała sobie o kanarku.

Miesiąc już minął, a nie słyszałem, aby zanuciła jaką piosnkę. Nie widziałem, aby się choć raz przez ten czas uśmiechnęła. Przechodziła koło mnie zwolna i w milczeniu, a często nawet miała oczy czerwone i zapuchnięte.

Plakała? I dlaczego? Bylbym chciał to wiedzieć i bylbym oddał ostatni atom swej woni, gdybym mógł tym oszczędzić jej najmniejszej jakiej przykrości...

Pewnego dnia wszyscy siedzieli obok mnie pod werandą — wszyscy, to nie znaczący wiele: Singnor Botanico, stara ciotka i Dora.

Mówili o wieczorze, który chcieli dać w willi, jak w roku zeszłym.

Dora trzymała tabliczkę szyfrową na kolanach i spisywała nazwiska osób, które miały być zaproszone. Ciotka jej dyktowała przeraźliwie długi spis pań. Dora notowała go obojętnie. Po skończeniu litanji pań nastąpiła dłuższa jeszcze litanja męskich nazwisk, które staruszka dyktowała w miarę, jak jej się nasuwały na pamięć.

Naprzód przychodzili jej na pamięć margrabiowie, baroni, hrabiowie, potem dopiero adwokaci, inżynierowie i t. p.

Dora pisała wciąż, nie okazując przytem ani zadowolenia, ani też niechęci...

Gdy już miały kończyć, ciotka rzekła:

— A Wiktor?

— Wiktor? — powtórzyła Dora, rumieniając się jak truskawka.

.....

Nadszedł dzień przyjęcia.

Dora zanadto była zajęta, żeby mózdz myśleć o mnie. Widziałem ją całe popołudnie uwijającą się tu i tam w błękitnej perkalikowej sukience i przyjmującą zjeżdżających się gości. Była uprzejmą dla wszystkich. Ale ani się uśmiechała, ani nie okazywała najmniejszej radości. Przykre jakieś myśli napełniały snąć jej główkę.

O zmroku zaczęły się zjeżdżać landa, koczyki i kabriolety, pełne młodych elegantów w długich kamlotowych paltotach, chroniących od kurzu ubiór ich balowy.

Stara ciotka i signor Botanico witali ich ukłonami z werandy; ale Dory już nie było.

— Pewnie zajęta jest swoją tualetą — myślałem i zrezygnowany byłem na to, że jej nie zobaczę...

Około drugiej w nocy, gdy muzyka huczniej zabrzmiała a tańczące pary żywiej się ruszać zaczęły w sali, ujrzałem przez okno samotną jakąś postać przesuwającą się zrećnie śród grona balowego na werandę i zbliżającą się do mnie.

Była to Dora w sukni blado-żółtej; miała ogon długi jak kometa, ubrana zwojami gazy rezedowej, podpiętej pękami róż purpurowych.

W pewnem oddaleniu i przy świetle księżycy jasny ten ubiór wydawał się białym.

Blade oblicze signoriny i oczy jej nabrzmiałe dziwnie odbijały od pozorów świątecznych, jakie dom cały przybrał na ten wieczór i od jej balowej tualety.

Siadła na krawędzi mego wazonu, oparła głowę o mój pień i zostawała tak długo ze spuszczo-nemi oczyma, jak gdyby się przypatrywała ziemi, która mnie otaczała. Z oczu jej padały duże kryształowe krople, które nie były ani deszczem ani rosą... Były to łzy.

Wionąłem na jej główkę wszystką woń swoją; otoczyłem ją atmosferą balsamiczną. A serce jej wzruszone tą moją tkliwością otworzyło się przedemną... Dora szepnęła, wzdychając:

— Ach, gdybym go już mogła nie kochać!

Nie kochać już, kogo? Czy kanarka? Ależ ona go zapomniała! A zresztą dlaczego już go nie kochać? Wszakże zawsze byli z sobą w zgodzie... Nie! To nie mógł być kanarek. Któż zatem? Przecież nie ja. Nie dałem jej najmniejszego powodu do tego, żeby pragnęła nie kochać mnie już więcej.

Myślałem nad tem przez chwilę. Przypominałem sobie osoby, które widywałem, te, których sly-szałem nazwiska, wyraz jej twarzy, jej słowa i jej ruchy i w jednej chwili powiedziałem sobie: Wiktor! Wiktor, którego nie chciała zaprosić. Wiktor, z powodu którego zarumieniła się jak truskawka. I przez niego plakała. I jego to nie chciała już więcej kochać. A zatem go kochała. Przeklęty ten Wiktor! *Maledetto!* Kto on jest? Nie znałem go wcale, alem go chciał odurzyć na śmierć swoją wonią...

.....

Dora podniosła oczy jeszcze zwilżone i spojrziała mimowoli na szklanne drzwi od sali, znajdujące się tuż naprzeciwko nas.

Muzyka ustała... W tejsze chwili dwie postacie zbliżyły się do drzwi szklanych. Był to wojskowy i piękna jakaś dama. Trzymali się pod rękę i dotykali się niemal głowami, aby ciszej mówić; poczem śmiali się wesoło. Tworzyli śliczny obraz ciemny na tem tle jasnem...

Dora to dojrzała i zaczęła szlochać...

Domyśliłem się, że ten wojskowy to był kapitan Wiktor Trestelle. Dora była zazdrosna o tę panią, jak ja byłem zazdrośny o kanarka. Biedna Dora!

Dwa owe cienie weszły powoli i lekko na werandę i zbliżyły się ku nam szepcząc sobie do ucha snąć mile jednak słówka, gdyż patrzyły sobie w oczy z uśmiechem.

Dora przytuliła się do mnie i usunęła się więcej w cień.

Ja zaś, odważniejszy, stałem nieporuszony i patrzyłem śmiało na tajemniczą parę. Spojrzałem na Wiktora. Był to piękny młodzian o czarnych włosach, wysoki i smukły o giętkich ruchach i oczach czarnych, błyszczących, śmiałych a łagodnych.

Spojrzałem na jego towarzyszkę. Twarz miała umalowaną, figurę pełną, ubiór pstry jakiś, obwieszony koronkami brukselskimi i usiany iskrzącymi brylantami, a na prawej ręce, z której zdjęła rękawiczkę, dostrzegłem — o! Floro! — obrączkę.

Na wszystkie pachnidła seraju!... To była mężatka!

.....

Moje kwieciane poczucie moralności oburzyło się na to odkrycie. Poruszony tem, wionąłem na Wiktora takim kłębem woni, że on aż odwrócił głowę, mówiąc:

— Co za śliczny zapach pomarańczowy!

I mówiąc to, spostrzegł kawał tego nieskończonego ogona barwy blado-żółtej i zgadł, że Dora go widziała i słyszała.

Spoważniał nagle i szedł dalej w milczeniu, pomimo kokieteryjnego szczebiotu pięknej damy.

Skoro się wmieszali wtłum zalegający salę, Dora wstała także. Nie sądziła wcale, że ją spostrzeżono. Zanim się skierowała ku balowej sali powioną-

lem ku niej wonią, co miało znaczyć: weź mnie z sobą...

Ona urwała jeden kwiat z mojej gałęzi i wpięła go we włosy, szepcząc do siebie:

— Już tylko ty mi pozostałeś do kochania, biedny mój kwiaku!

I wyszła...

Wiktor podszedł naprzeciw niej i poprosił ją do tańca; ona podała mu rękę i szła z nim w milczeniu.

— Czy Dora się bawi? — zapytał kuzynek nie dość blizki, aby jej mówić ty, a nie dość daleki, aby ją nazywać panną Dorą.

— Tak — odparła z cicha.

— Nie myślałem; Dora mi się zdawała smutną i zadumaną.

— Ja zawsze taka.

— Odkądże to?

Dora nie odrzekła — Wiktor znów zauważył:

— Zdaje mi się, że Dorze jest zimno.

Dora wciąż się dąsała i spuściła głowę — Wiktor zapytał:

— Zkąd Dora wzięła ten kwiat pomarańczowy?

— Nie wiem... z mojej gotowalni.

— Mnie się zdaje, że Dora się myli, bo przed półgodziną jeszcze go nie miała...

— Zerwałam go teraz...

— Dora go urwała w gotowalni! — A zniżając głos, kryjący jakoby westchnienie, ciągnął dalej:

— Czemuś stała samotna na zimnie nocem pod drzewkiem pomarańczowem? Dlaczego masz oczy czerwone Doro! Dlaczego?

I patrzył w jej twarz uparczywie, spojrzeniem błyszczącym, śmiałym a łagodnym.

Dora milczała uparczywie — zarumieniła się mocno i miała oczy spuszczone wciąż ku ziemi.

W tejże chwili przyszła na nich kolej do tańca. Wiktor objął ją czule ramieniem, a po skończeniu trzymał jeszcze długo jej rękę w swojej.

Był o ostatni taniec. Dora usunęła się do swego pokoju, ale nie spała. Patrzyła na mnie, roztrząsała każde słówko rozmowy, do której ja dałem powód i szepnęła:

— Kto wie?

Nazajutrz wszyscy zaproszeni goście odjechali. Nawet i ta piękna dama strojna w koronki, brylanty, z obrączką na palcu a z kokieterijnymi słówkami na ustach...

Sam tylko Wiktor jako krewny tej rodziny pozostał.

— Czy zostajesz z nami Wiktorze? — zapytała ciotka.

— Tak, Dora mi obiecała gałązkę ze swego pomarańczowego drzewka. Zatrzymałem się, żeby ją dostać i zasadzić sobie.

A ofiarując ramię swej kuzynce, skierował się ku memu wazonowi.

— Czy wiesz, dlaczego nie odjechałem! — zapytał pełnym swym i głębokim głosem. — Czy wiesz dlaczego? Moja Doro?

Dora zadrżała na te słowa. Chciała się oddalić, ale nie miała odwagi. Osunęła się jak w przeddzień na mój wazon i twarz zakryła rękami.

Wiktor siadł tuż obok niej i szepnął jej do ucha:

— Nie pojechałem bo cię kocham i ufam, że mi będziesz wzajemną!

— Ach Wiktorze! — zawołała Dora szlochając. — Nie dałeś mi na to dowodu dzisiejszej nocy... Ku innej skłaniało się twoje serce.

— Mylisz się, Doro. Była to chwila zapomnienia, alem ja ciebie tylko kochał. — A ująwszy jej rękę, tulił ją w swoich i mówił dalej: — Woń twego kwiatu pociągnęła mnie w tę stronę i ujrzałem że tu jesteś sama, żeś mię widziała i że płaczesz... I wówczas myślałem już tylko o tobie i mogę ci na to przysiąc! Czy mi przebaczysz Doro?

A podczas gdy on tak mówił, Dora wysunęła zwolna rączkę i pochyliła ku niemu smukłą swoją kibić i jasnowłosą główkę...

— A potem znowu będziesz miał chwilę zapomnienia? — zapytała Dora. — Ty masz ich tyle, gdy jesteś wśród pięknych dam!...

— Bądź zawsze ze mną, ukochana. Bądź całą moją, a wówczas chwile zapomnienia będą tylko dla ciebie... Cóż, czy zgadzasz się, Doro? Czy chcesz zostać moją? Mów!...

I ramię wojskowego objęło smukłą kibić, a śliczna jasna główka dotknęła niemal jego epoletów, podczas gdy on utopił w jej oczach wzrok swój błyszczący, śmiały a łagodny...

— Tak... — szepnęła Dora i dała mu jeden z swoich kwiatów.

— I to ten mój kwiat pomarańczowy nas połączył; gdy będziemy szli razem do ołtarza, wepnę go we włosy i...

Chciała mówić dalej, ale ktoś zamknął jej usta... swojemi...

— Hm, hm, hm! — dało się nagle słyszeć w salonie na ton żartobliwy.

— Tatko! — zawołała Dora...

I oboje młodzi zerwali się w tejże chwili, pobiegli naprzeciw signora Botanica i głosem wzruszonym powiedzieli mu wszystko, to jest... prawie wszystko...

— A niechże was! moje dzieci! — jęknął tatko.

I w owym dniu, pomimo znużenia, spowodowanego bezsennością nocą, zauważano, że signor Botanico nucił dziwnie wesoło swoją zwykłą zwrotkę:

Hm, hm, hm!

W ten to sposób stałem się weselnym kwiatem!

M. C.

KONIEC.



Potęga prawdy.

(C. d.) Rysować dla Asty nie było mu za zbrodnie poczytane, przeciwnie, zachęcano go do tego wszelkimi sposobami. Koledzy zazdrościli mu i prześladowali Astą na każdym kroku. Nie zważał na ich złośliwe docinki, tak samo, jak pomijał, uwagi nie zwróciwszy, widoczną antypatję, którą darzył go Detlew przy każdej sposobności. Niech sobie ten Krezusek drobniotki krew psuje, niech ile chce wzrusza ramionami, z widocznym do niego wstrętem, niemal z pogardą... Maksa to tak nie ziębi, jak go nie grzeją i nie radują łaskawe dowody — politowania, ze strony panny Löwenstern. Na tyle miał jeszcze zastanowienia i zdrowego rozsądku, żeby siebie nie ludzi tak, jak się jego matka ludziła, bezsensownymi nadziejami. Ani Löwensterny ani nikt na całej kuli ziemskiej, nie mógł go już więcej zasmucić i nie potrafił by go rozweselić.

I matka nie. Wykonywał co prawda mechanicznie jej rozkazy, jak biedny muł, nad siły objuczony, wlecze się pod górę nogami drżącymi, słysząc nad uszami bał świszczący w dłoni przewodnika.

Gdy dnia jednego matce pokornie zameldował, ze zwykłą apatyczną obojętnością, iż tu i owdzie dłużki pozaciągał, ostro na niego krzyknęła, niech nie będzie takim mazgajem, i niech raz z Astą targu dobije. A może czeka, żeby milionerka pierwsza mu się oświadczyła?

Znaglony matki rozkazem, ubrał się w mundur najparadniejszy, aby (jak w ducha skrytości powtarzał) dać się zamknąć na wieki w kazamatach!

Maszerując tam, gdzie mu przykazano, recytował pół głosem lekcję, której go niby szpaka uczono: — Można przywyknąć i bez namiętnej miłości... najsilniej wiąże małżeństwo wspólność interesów!... Mimo tego wszystkiego strach go ogarniał, jak rekruta, gdy go pędzą po raz pierwszy na armat baterję.

Ba! na to jest przecież rada, środek niezawodny, wypróbowany przez niego nieraz i nie dwa tymi czasami. Wstąpił zatem po drodze do kasyna, aby wypić na kuraż szampana.

Na codzień wystarczało mu pół flaszki, aby odurzyć się i wzlecieć na skrzydłach lekkiego w głowie szmermelu, po nad ten nędzny padół, w krainę marzeń rozkosznych, gdzie w mgłę różowej niktą wszelkie ziemskie troski, toną życia bóle i przykrości, gdzie taki nawet jak on niedołęga, czuje się panem wszechstworzenia, wyrasta w oczach własnych na bohatera niezwykłego. Dziś atoli w chwili tak ważnej a strasznej, palnie całą butelczynę!... na *puf* ma się rozumieć... Eh! czyż w ogóle nie żyjemy przemyślem i kredytem?

Krokiem chwiejnym, odurzony, prawie ubezwładniony, doszedł jednak i trafił instynktowo do bramy wspaniałego pałacu Löwensternów. Nie zauważył

w jakim blasku słonecznym kąpie się gmach pyszny, nie uczuł woni rozkosznej hiacenty, fiołków i konwalij, kwitnących w około, nie uderzyła go miękka i puszysta murawa, niby aksamit szmaragdowy, przed pałacem rozciągnięta.

Wszedł bezmyślnie na pierwsze piętro.

Asta nie mogła go przyjąć natychmiast. Kazała poprosić, ażeby pan Althaus zechciał na nią chwilę poczekać, w jej buduarze, gdzie zwykle konferowali nad rozmaitemi zmianami i upiększeniami ogrodu i oranżerji.

Powiódł w koło wzrokiem obumarłym. Nagle rozszerzyły mu się źrenice i życiem błysnęły.

Na stoliku leżał pakiet świeżo z poczty odebrany i rozwinięty. Na jednej połowie był jeszcze adres przyklejony.

Maks wpatrzył się w to pismo śmiało, wyrazne, piękne, a tak mu dobrze znane. Tak jedna li ręka pisała!

Rzucił się gwałtownie ku stolikowi. Stempel pocztowy był z Berlina; pakiet Marta wysłała. Tchu mu w piersiach zabrakło.

Na próbę Marta wysłała portjery przepyszne, już wykończone, żeby Asta miała wyobrażenie, jak będzie wspaniale wyglądać cały garnitur mebli, przez nią zamówiony.

Nie zastanowiwszy się czy to wypada tak się w cudzym domu rozgospodarowywać, rozłożył przed sobą robotę, arcydzieło smaku, wytrwałości i cierpliwości. Ręce drżały mu febrycznie.

Coś szemrały z cicha, mistrzowsko posplatane, gałązki olchowe; o czemś gwarzyły wesoło szczygielki. Nucily one piosnkę wiecznie nową, najpiękniejszą i najrozkoszniejszą, o której on by miał zapomnieć? Miałby się jej wyrzec na zawsze?

Jak ktoś z letargu powstający, zrywa gwałtownie wieko trumny i szarpie w szmaty całun grobowy, tak Maks nagle oprzytomniał, wytrzeźwił się i postanowił uwolnić z więzów, które matka wbrew sercu, wbrew przekonaniu, spętała go chciała na wieki.

Być że to mogło, żeby on stał tutaj w zamiarze oświadczenia się innej? Precz ztąd! precz! na miły Bóg!

Radby był portjery złożyć na nowo. W tem papier zaszeleścił mu pod palcami. Było to Marty sprawozdanie.

Chwilę tylko zawahał się z czytaniem. Któż miał do tego większe prawo od niego?

List pisany był w tonie pełnym wdzięczności i uznania dla Asty, bez uniżoności jednak i podchlebstw niepotrzebnych. Z serca dziękowała za łaskawą protekcję i tak znaczne zamówienie, które Martę od razu na nogi postawiło, tak że ona dziś nieledwie prawa dyktuje swojemu pryncypałowi. List kończył się temi słowami. (C. d. n.)

JÓZEF IWANICKI HANDEL MASZYN DO SZYCIA

we Lwowie, Hotel Żorża.

Wskutek korzystnej umowy z fabrykami zagranicznymi i wiedeńskimi z dniem 6. maja b. r. zniżyłem ceny maszyn do szycia.



- Maszyny Singera ręczne na stoliku po 70 złr.
- Maszyny Singera nożne ze szkatułką po 65 złr.
- Maszyny Singera ręczne po złr. 38, 42 i 46.
- Maszyny Saxonia ręczne po złr. 36 i 38
- Maszyny Wehler i Wilson nożne po 56 i 60 złr.
- Maszyny Howe szewskie i krawieckie po 66 złr.
- Maszyny cylindrowe po 110 złr.
- Maszyny Singera nożne z Herofonem (rodzaj Arystona z 6 nutami) po 100 złr.
- Maszyny Singera do dziurek (60 dziurek na godzinę) po 85 złr.

Maszyny z fabryk wiedeńskich:

Singera nożne ze szkatułką po 40, 46 i 50 złr. — Singera ręczne ze szkatułką po 35 i 38 złr. — Howe szewskie i krawieckie po 55 złr.

Każda maszyna przed wydaniem z handlu jest najdokładniej uregulowana.

Gwarancja 5 lat.

Ceny ratalne po 1 złr. tygodniowo, 4 złr. miesięcznie, lub 12 złr. kwartalnie (jak komu dogodniej). Gotówką 10 procent taniej.

Igły do maszyn Singera po 3 ct., zaś do wszystkich innych maszyn po 5 ct.

Józef Iwanicki

mechanik i zaprzysiężony rzeczoznawca sądowy.

Natępni ajenci zagranicznych spekulantów wciskają się do domów i narzucają P. T. Publiczności maszyny, które wychwalają jako najlepsze, bo otrzymują za to 20 procent, tj. od nożnej maszyny dostają agent co najmniej 15 złr., a od ręcznej 10 złr., a odbiorcy dostają za to stare, polakierowane maszyny, w których wszystkie części są z lanego żelaza, prędko się łamią, ciężko szyją i tylko zdrowiu szkodzą.

FARBY OLEJNE

gotowe do użytku i szybko schnące,
Farby

do malowania dachów, w najlepszym pokoście tarte.

Najlepsze farby

tarte w pokoście mineralnym, odpowiadają różnym celom, nadają farbę i połysk za jednorazowym pociągnięciem, wysychają w niewielu godzinach i tańsze są od olejnych.

Farby do fasad

rozpuszczalne w wapnie, do kolorowania budynków, w 36 kolorach.

Wszelkie gatunki lakierów krajowych i zagranicznych.

PĘDZLE

z najlepiej renomowanych fabryk.

Tektury dachowe, ter pogazowy i drzewny, masa terowa, asfalt, cement, gips. Oliwy do maszyn i smarowidło do osi żelaznych. Pasy skórzane do maszyn. Pasy gumowe do maszyn, Gurty konopne do maszyn.

NOWOŚĆ! Lniane napuszczane pasy do maszyn etc. etc.

polecają

HÜBNER i HANKE

we Lwowie.

Karty wzorów, cenniki i specjalne oferty, na żądanie gratis franco

Nakładem Dr
opuści

Rozprawy W

nad kwestją polską.

Dosłowny przekład ze stenogramu urzędowego.

Cena egzempl. 1 złr.

Nabywać można w Drukarni Polskiej przy ul. Jagiellońskiej 1. 16 i we wszystkich księgarniach.

KALENDARZ

„Kurjera Lwowskiego”

na rok 1887.

bogaty w treść informacyjną i literacką przyozdobiony pięknymi ilustracjami, wyjdzie w ciągu miesiąca wrzesnia.

Zamówienia na inseraty przyjmuje administracja „Kurjera”

IZYDOR WOHL

ulica Sykstuska 1. 6.

we Lwowie

polesca Stan. P. T. Publikacjami

SWOJ WYŁĄCZNY SKŁAD

HERBATTY

rosyjskiej.

Kawosow, dosk. czarna pół kilo	1 zł. 60 ct.
Suzozoj, wyborna melange	1 " 80 "
Melange, najlepsza	2 " 20 "
Melange, karawanowa	3 " 20 "
Pocz. Nr. I.	4 " 20 "
" Nr. II.	5 " 20 "
" Nr. III.	6 " 20 "
fant 1. 1. 60 kop.	2 " 40 "
" 2. " 50 "	3 " 40 "
" 3. " 50 "	4 " 40 "
Wyborna H. prima pół kilo	1 " 80 "
non plus ultra "	1 " 50 "

Łaskawe zlecenia odwracaj pocztą, Opakowanie franko, kupcom rabat.

